

Wyszniowska Stefania

- 1 - I/872

Wyszniowska Stefania
z dom. Lechowicz

← "Dewajtis" - Stefania Zofia z domu Lechowicz ur. 8.III.1922 r.
w Drohobycz, zamieszkała we Lwowie. Ojciec Jan, księgowy w prywatnej firmie haftowej "Galicja".

W 1939 r. ukończyłam pierwszą klasę liceum o kierunku matematyczno-fizycznym w prywatnym gimnazjum SS Urszulanek we Lwowie.

Wojna 1939 roku zastała mnie w Borysławiu skąd po ponad 24-godz. drodze pociągami przyjechałam 8 września do Lwowa.

Wejście wojsk do Lwowa poprzedziła tragedia kilku oficerów z jednostki /nie wiem jakiej/ kwaterującej w naszej dzielnicy - ul. Hauke Bosaka - tzw. Góra św. Jacka. Zastrzelili się na sąsiadujących błoniach. Szeregowych przebieraliśmy w cywilne ubrania.

Od października kończyłam średnią szkołę /dziesięciolatkę/ w gimnazjum, gdzie doszło kilku nauczycieli Rosjan i Ukraińców - a zakonnice zostały pozbawione prawa noszenia habitów. Jedną z naszych nauczycielek francuskiego p. Marię Gerstman /?/ wywieziono do Kazachstanu.

Latem 1940 roku pomimo pomyślnego zdania egzaminu na politechnikę, nie zostałam przyjęta jak i inne koleżanki z klasztornego gimnazjum. Zaczęłam pracować w wytwórni warzywniczej, gdzie w podziemiach Kościoła SS Sakramentek Żyd brygadzysta szykanował nas, wyzywał i zmuszał do wykonywania zbyt wysokiej dla nas normy.

Zapisałam się na kurs montażowy zorganizowany przez firmę "Radiopron". Po zdaniu egzaminu pod koniec 1940 roku zostałam przyjęta jako laborant do pracowni pierwszej kontroli zmontowanych 7-mio-lampowych odbiorników radiowych /przy ul. Zimorowicza/. Kierownikiem moim był inżynier Adler - Żyd, wyrozumiały i życzliwy dla Polaków. Stworzył dobrą atmosferę pracy. Pobłażając w wielu przypadkach, był bezwzględny w realizowaniu propagandy sowieckiej /np. obecność w pracy w czasie kościelnego święta, uczestnictwo

we wszystkich zebraniach/.

Po rozpoczęciu wojny niemiecko-rosyjskiej Rosjanie w popłochu uciekali nie omieszkając przy sposobności grabić i kraść wszystko co się dało.

Po wejściu Niemców do Lwowa ojciec mój został zmuszony do pracy jako księgowy w prywatnej firmie Niemca Hallemana, która obejmowała pracownię stolarską, malarską, gdzie zatrudniał Żydów i sklep spożywczy "nür Deutsche". W magazynach tego sklepu zostałam zatrudniona do rozliczania z kartek żywnościowych rozmaitych jednostek wojskowych, które zbiorowo zaopatrywały się z magazynów. Zaopatrzeniowcy często zostawiali końcówki kartek czym dzielili się pracownicy magazynu. Kierownikiem był Ukraińiec.

W połowie 1942 roku ojciec mój dostał zawału i przestał pracować, a mnie właściciel zwolnił z pracy skierowując na wywóz na roboty do Niemiec. Udało mi się przez koleżankę ze szkoły Stanisławę Grabską dostać do Instytutu prof. Veigla jako karmicielka wszy. Instytut produkował szczepionkę przeciwtyfusową dla wojska. Tak, że zaświadczenie o pracy tam, broniło przed wywiezieniem. Pracowało tam w różnym charakterze bardzo dużo Polaków, działających w organizacji podziemnej AK.

Zaczęłam i ja trochę w konspiracji działać, przenosząc gazetki i inne papierowe sprawy.

Dopiero w grudniu 1942 roku zostałam oficjalnie wprowadzona do konspiracji w oddziale łączności i zaprzysiężona przez dowódcę oddziału, jak się później dowiedziałam Józefa Sosnowskiego ps. "Maria".

Po roku pracy jako łączniczka poznałam swego późniejszego szefa pseudonim "Irys", jak się dalej okazało skoczek spadochronowego, "cichociemnego" Romana Wiszniowskiego.

Z początkiem 1944 r. "Palma" został aresztowany i następnie rozstrzelany. Przez krótki okres byłam wraz z całym oddziałem

2
Lwów

"spalona" i nie pracowałam.

W lutym w ramach rekonstrukcji oddziału łączności zostałam przyjęta do pracy przez "Irysa" jako szef jego kancelarii /miałam swoją maszynę do pisania/.

Przechodziłam szkolenia radiotelegrafisty, prowadziłam pluton nasłuchu i przechodziłam przeszkolenie w podchorążówce. Trwało to do lipca 1944 roku. W dniach "Burzy" od 21 do 27 lipca uczestniczyłam w walkach o Lwów.

Było nas kilka osób w kamienicy narożnej przy ul. Batorego na skrzyżowaniu kilku ulic. Naprzeciw nas z ulicy Kochanowskiego nadjeżdżały rosyjskie czołgi. Wszyscy przeszli do piwnicy. Z "Irysem" widzieliśmy jak Niemcy na skwerze na skrzyżowaniu ulic rozłożyli sprzężone miny, co było zamaskowane połamany drzewem. "Irys" postanowił je zdetonować strzałami z pistoletu. Po jego strzałach Niemcy jeszcze kwaterujący naprzeciw nas w gmachu sądu zaczęli strzelać do okien naszej kamienicy raniąc w udo "Irysa". Detonacja min nie udała się i pierwszy czołg ruskich został uszkodzony i spalony. Zajęta przewiązywaniem nogi i opatrunkiem rany "Irysa" - byliśmy tylko we dwoje na piętrze i nie wiem kiedy Rosjanie weszli na ul. Batorego, bo w międzyczasie Niemcy wycofali się w kierunku śródmieścia i walk pod domem nie było. Rosjanie po walkach w śródmieściu zajęli całe miasto.

W pierwszym okresie dekonspiracji Armii Krajowej /do chwili aresztowania sztabu obszaru Lwów/ nasz oddział łączności /łączność radiowa z Londynem/ nie został zdekonspirowany. Opaski i broń nosiliśmy ukryte przy sobie.

Już od początków sierpnia zaczęły się masowe aresztowania akowców.

Na podstawie zaświadczenia o zdanych w 1940 r. egzaminach zostałam przyjęta na Politechnikę na wydział chemiczno-naftowy.

Zaczęła się normalna praca konspiracyjna. Oddział nawiązał łączność z oddziałami partyzanckimi, aby teren poza Kwowem wy-

korzystać na pracę radiostacji nadawczo-odbiorczych.

W międzyczasie w Brzozdowcach /mała wieś pod Mikołajowem/ zawarliśmy z "Irysem" ślub małżeński w obecności wikarego tamtej parafii ks. Stanisława Kozłowskiego. W rejonie tym działał oddział partyzancki "Tancesk" /?/. Dowódcą był student Politechniki Lwowskiej Tadeusz Skorczon /?/.

Praca w oddziale łączności "Opacza" trwała do czerwca 1945 r. Tak "Irys" d-ca jak i wszyscy, kilkakrotnie z powodu wpadek radiostacji zmieniali kryptonimy.

Z początkiem czerwca w Winnikach pod Lwowem po namierzeniu radiostacji, na której pracował "Irys", został on z kolegą Gelkiem Tyczyńskim aresztowany /4-5.VI/, a następnie 9 czerwca ja podzieliłam jego los.

Moje aresztowanie było spowodowane błędnymi danymi wywiadu AK. Zgodnie z ustaleniami w naszych kontaktach do 24 godzin po zniknięciu "Irysa" miałam się ukryć, a najdalej do 3 dni usunąć wszystko co było konspiracyjne z punktów, które on znał. Natomiast szef "Adam" nawiązał ze mną kontakt 7.VI i zapewniał, że "Irys" choć zniknął, ale nie jest aresztowany. Tak był tego pewien, że poszedł ze mną do naszego mieszkania 7.VI. wieczorem i zapewniał, że mogę spokojnie czekać aż się czegoś konkretnego dowie. Z 8 na 9 czerwca przyszedł skatowany "Irys" z enkawudzistami i jaka była jego konsternacja, gdy zastał dom zupełnie nie oczyszczony ze śladów konspiracji. I tak zaczęło się śledztwo. Bardzo dużo o nas wiedziano z niemieckich jeszcze czasów. Okazało się, że akta z dowództwa AK zostały przekazane do NKWD. Ja nie byłam bita. Raz tylko dano mi do powąchania kij i po mojej uwadze, że kij ma dwa końce poczułam jeden z nich na swoich plecach.

Na drugi dzień po aresztowaniu, gdy cywilni agenci wyprowadzili mnie do miasta "na wabika" udało mi się na kilka godzin uciec i ostrzec kilka osób z naszej komórki i dokumenty pozostałe

na innych punktach zabezpieczyć. Po powrocie na "Łąckiego" już takich eksperymentów ze mną nie robiono.

W więzieniu przebywałam 5 dni w karcerze w podziemiu, za próbę skontaktowania się przez okno w celi z siostrą koleżanki /Ewa Wiśniewska/. O karcerach tyle już pisano, że nie będę się rozwodzić na ten temat.

Na Łąckiego w różnych celach spotkałam p. Marię Grzędzielską, Henrykę Grossek, Krystynę Zajączkowską.

Sledztwo zakończono i sąd odbył się we wrześniu. Skazano mnie na 10 lat "isprawitielnotrudowych lagrów" i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich.

Byłam na punkcie przesyłkowym we Lwowie przy ul. Pełtewnej, skąd pojechałam do fabryki lamp przy ul. Lwowskich Dzieci. Po zorganizowanej ucieczce kanałami kilku osób przewieziono nas znów na Pełtewną, gdzie spotkałam brata Mariana Lechowicza aresztowanego w sierpniu 1944 r. i męża.

W dzień wigilii Bożego Narodzenia wywieziono nas pociągiem. Ja z etapem pojechałam na Ural, mąż do Workuty, brat do Donbasu. Moja droga trwała dwa tygodnie i 6 stycznia, w święto Trzech Króli wyładowano nas w Mołotowie /Perm/.

Zamknięte w bydlęcych wagonach przez tyle dni, oślepione jasnością śniegu usiłowałyśmy zmyć straszny brud z rąk i twarzy, nagromadzony od piecyka węglowego. Prawie oparzyłyśmy ręce i twarz mroźnym, nie rozpuszczającym się śniegiem. Był ogromny mróz.

X Po kaźni podzielono nas na grupy. Dostałam się na kolonię. Pierwsza praca była przy przesuwaniu torów kolejowych dla żużła przywożonego z sąsiednich hut i wylewanego z wagoników. Wieczorem pociąg taki w momencie przechylania się wagoników i wylewania rozpalonego do czerwoności żużła tworzył fantastyczny wprost widok. Nazywałyśmy to "czerwone słońce Urалу".

Zasadą obozową było ciągłe przemieszczanie różnych grup

więźniów z obozu na obóz, z peresyłki na peresyłkę, tak że w końcu byłam jedną Polką w obozie.

W większej grupie Polki nie dawały się złamać, jedna drugiej pomagała. Gdy zostałam sama dostałam biegunkę i to doprowadziło mnie do bardzo zaawansowanej dystrofii /całkowite wycieńczenie organizmu/. Nie miałam siły podnieść się z pryczy. I wtedy przyjechały w etapie dwie Polki: Anna Szymczyk ze Lwowa i Józefa Bródka gdzieś spod Lwowa. One poprzednio dłużej były na jednej kolonii i Ania miała paczki z domu. Ostrożnie mnie odkarmiono, a naczelnik obozu zaczął mnie pokazywać wizytującym, twierdząc że to ich zasługa.

Postawiono mnie jako dietetyka w kuchni. Stamtąd szybko mnie wygryzły pracujące tam więźniarki. Nie mogły mnie zrozumieć, że przychodziłam, próbowałam próbki jedzenia i stawałam^z kociołkiem w kolejce po posiłek.

Dano mnie do pracowni krawieckiej, gdzie Rosjanki i Ukrainki szyły ubrania dla "wolnych", mundury dla wojskowych, czasem rękawice ochronne dla więźniów. Po pewnym okresie poszła na wolność Ukrainka-kierownik i mnie uczyniono kierownikiem. Gdy się wzbraniałam, tłumacząc że nie znam krawiectwa, naczelnik zaargumentował tym, że szyć jest komu, ale tylko mnie może powierzyć pilnowanie aby nic nie ukradziono. Do brygady krawieckiej dokoopowano kilka dziewczynek do haftu, między innymi Anię Szymczyk.

Robiliśmy piękne rzeczy dla "wolnych" z dostarczonego przez nich materiału. Dzięki temu nawiązała się bliższa znajomość z "wolnymi" z obsługi obozu. Wtedy naczelnik "urzca" - coś w rodzaju kadrowej w obozie - dała mi odpis mojego wyroku i zapewniła, że pojedziemy do Polski. Faktycznie, po przyjeździe na peresyłkę zorientowałam się, że wiele Polek grupami odjeżdża do Kraju.

Niestety ja któregoś dnia zostałam wyczytana do etapu różnonarodowościowego i tylko razem z Anią Szymczyk wyruszyliśmy

w długą drogę za Ural. Nie pamiętam jak długo jechaliśmy w byd-
lących wagonach, ale dojechaliśmy do Tajszetu za Irkuckiem.

Nastąpiła normalna kolej rzeczy. Na zmianę obóz i praca,
to przy wyrębie lasu, to przy trałowce /ściąganie pni do spływu/,
to na budowanie osiedla dla robotników /tutaj udało mi się osią-
gnąć tzw. zaczotę - za wykonanie 200% normy zaliczano dwa dni
z wyroku. Osiągnęłam prawie cztery miesiące zaczotów/.

Na zmianę znowu peresyłka i znów obóz. Nie pamiętam nazwy
ani numerów obozów, bo często zamiast nazwy podawano kilometry budo-
wanej trasy kolejowej. Realizowano wtedy linię strategiczną An-
gara-Lena.

Kiedys na Uralu miałam sen, że jadę do Polski, ale dziwnym
pociągami osobowym, który nie tonąc jechał po wodzie. Sen ten
przypomniała mi Ania Szymczyk w czasie drogi przez Angarę⁷. Był
rok zapewne 1949-1950 gdy załadowano nas do bydłych wagonów
i po jakimś czasie jazdy po dwa wagony przetaczano na prom i
przewożono przez Angarę. Prom był tak wąski, że z górnego okienka
wagonu nic nie było widać prócz rzeki niespokojnej i mieniacej
się w świetle księżyca drobną, trzeszczącą krą lodową. Za Angarą
znowu ciągła zmiana obozów i rozmaite prace: wyrąb lasu, ^{ciągnięcie} ~~ciągnięcie~~
pni /czasem służyły do tego celu osiołki/, wyrównywanie terenu
w górach pod linią kolejową i tak do 1951 roku.

Zmęczona, niedożywiona zaczęłam zapadać na zdrowiu i go-
rączkować. W związku z tym przeniesiono mnie do obozu "skabszil-
nych" - nie nadających się do ciężkiej pracy.

Pracująca tam lekarka Polka - Lena ze wschodniej Ukrainy -
podejrzewając gruźlicę odprawiła mnie do szpitala dla więźniarek.
I faktycznie okazało się, że mam nie dużą kawernę i zaczęto mi
zakładać odmě.

W tamtejszym szpitalu pracowała w laboratorium magister ge-
ografii z Uniwersytetu Wileńskiego - Barbara Olędzka. Ponieważ
kończyła odsiadki wyroku za AK - siedem lat - trochę mnie

przyuczyła i już w trakcie leczenia zaczęłam pracować jako laborant w laboratorium szpitalnym. Pomocą było dla mnie to, że we Lwowie studiowałam rok na Chemii na Politechnice, zaś z domu od rodziców otrzymałam ruski podręcznik analityki.

Cały szpital był obsadzony więźniami, były najrozmaitsze oddziały od interny, chirurgii przez laryngologię do oddziału dla psychicznie chorych, gruźliczego z wydzielonym pawilonem dla prądkujących. Lekarki specjalistki pochodziły z całej Rosji, były politycznymi więźniarkami i tylko naczelna lekarka była osobą wolną.

Był też baraczek apteki. O zaopatrzenie starała się "wolna". Pracowała tam "Marianna" - pielęgniarka z Warszawy - Izabela Jasińska.

Kierownikiem laboratorium był lekarz parazytolog z Moskwy, nazwiskiem Bor - imienia nie pamiętam - osoba inteligentna, z którą dobrze nam się pracowało.

W takich warunkach dosiedziałam do końca wyroku /minus cztery miesiące zaczotów/ i choć kilkakrotnie naczelnik usiłował wysłać mnie etapem, to zadowolona z mojej pracy lekarka potrafiła mnie nawet spod bramy zawrócić do szpitala.

W lutym 1955 roku pojechałam na peresyłkę do Tajszetu. Chciano mnie, tak jak wszystkie Polki, odesłać na przesiedlenie do Krasnojarskiego Kraju. Uparłam się, że nie pojedę i przesiedziałam prawie trzy miesiące na tej peresyłce nie podejmując się pracy. Codziennie chodziłam do biur zarządu tajszeckich obozów - pisałam podania do Moskwy, do zarządu obozów w ZSSR. Tajszeccy naczelnicy też chyba pisali - bo to dla nich głupia sytuacja - "wolna", a na ich utrzymaniu. Zaproponowano mi w końcu pracę w tajszeckim szpitalu dla "wolnych". Upór mój został nagrodzony - nie mieli prawa wysłać na zsyłkę bez zgody.

I tak konwojując do Kijowa młodego Ukraińca po resekcji płuca, ponad dwa tygodnie jechałam przez Magnitogorsk, Moskwę, Ki-

jów do Lwowa, do rodziców. Na drogę dostałam 10 rubli, suchy prowiant /makucha/ i bilet do Lwowa.

We Lwowie, dzięki Polonii dostałam już w maju pracę jako laborant w gruźliczym szpitalu dziecięcym. Dzięki usilnym staraniom jeszcze w obozie dostałam zaświadczenie z pracy laboranta analityka od 1951 roku.

Zaczęłam starania o wyjazd do Polski, do męża. Ponieważ cała moja rodzina - rodzice, siostra z córką i brat, który przed rokiem wrócił z obozu - mieszkała we Lwowie, mnie samej nie chcieli puścić do męża. On jako polski obywatel /nigdy nie posiadał legalnych dokumentów rosyjskich/ znalazł się w Polsce we wrześniu 1955 roku. Ja natomiast nie posiadając metryki ślubu występowałam pod panińskim nazwiskiem. Zaczęłam więc ~~/w-tajemnicy/~~ usilne starania w urzędzie w Kijowie, którego adres dał mi ~~/w-tajemnicy/~~ naczelnik urzędu repatriacji. Mąż natomiast postarał się o notarialne oświadczenie świadków naszego ślubu.

Równocześnie zaistniała umowa rządów o dodatkowej repatriacji Polaków z ZSSR. Tak, że we wrześniu 1956 roku znalazłam się w Polsce.

Ponieważ nie pamiętam wielu szczegółów i chronologii mojego szlaku więziennie-obozonego, opowiem kilka epizodów z tego okresu, które wbiły mi się w pamięć.

Sięgnę wspomnieniami do okresu więziennego we Lwowie na Łąckiego. Było lato 1945 roku - kończyło się śledztwo. Byłam w celi jedyną Polką wśród Ukrainek. Ukrainki dużo wspólnie modliły się i gdy tylko było możliwe śpiewały kościelne pieśni.

W tym okresie więzienie było straszliwie zawzione - do łaźni nie wprowadzano nas. Kiedy tylko było to możliwe Polki zbierały się i tłukły wszy. Było to kością niezgody między nami i Ukrainkami, bo bicie wszy w trakcie modłów uważały za świętokradztwo, a modliły się bez przerwy.

Wysoko w celi było zakratowane okienko, które nie miało

zewnątrznej obudowy drewnianej. Kiedyś wpatrując się w to okienko - bo choć nieba nie było widać to przynajmniej widać było górne piętro kamienicy przy Łąckiego po przeciwnej stronie ulicy, zobaczyłam na balkonie siostrę mojej koleżanki szkolnej Hanki Wiśniowskiej, Ewę Wiśniowską. Ich ojciec był dyrektorem gazowni. Uzmysłowiłam sobie, że ten budynek naprzeciw, to dyrekcja gazowni lwowskiej.

Ponieważ śledztwo było prawie ukończone, byłam raczej odprężona - co ma być to już się stało - coś zaczęłam mówić do swoich współtowarzyszek i dwie z nich podniosły mnie na ramionach, bo okienko było bardzo wysoko. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami tego co robię wysunęłam rękę przez kratę i machając wołam: "Ewa! Ewa!" Naturalnie ktoś ze strażników chodzących dookoła budynku zobaczył to i zaalarmował. Ewa Wiśniowska nie zdążyła zwrócić na mnie uwagi, bo rozległo się łomotanie do drzwi celi i zeskoczyłam na ziemię. Sporo nas było w celi i momentalnie zmieszałyśmy się. Weszło kilku strażników, pytając kto z nas komunikował się przez okno. Zaczęli straszyć rozmaitymi represjami, więc przyznałam się, że to ja zobaczyłam znajomą. No, ale kto mi pomagał - kto mnie podtrzymywał. Zaczęli nalegać bym wydała - powiedziałam, że po prostu nie wiem, a z innych nikt się na szczęście nie przyznał.

X Najpierw posadzono mnie do jakiejś nieużywanej łazienki, gdzie była kaflowa podłoga zalana wodą do wysokości progu. Stałam w tej wodzie pewnie ze dwie godziny, gdy zdecydowałam się stanąć na progu pod drzwiami - bo choć to było lato skostniały mi stopy. Wsparta o framugę drzwi stałam jeszcze trochę, gdy zostałam ponownie wezwana.

I znowu pytano kto mnie trzymał. Ponieważ uparcie twierdziłam, że nie wiem - zrezygnowano i odprowadzono mnie do podziemia, gdzie odsiedziałam pięć dni w autentycznym karcerze.

Karcer znajdował się w wewnętrznym bloku w podwórzu.

Wcisnęli mnie do celki pewnie metr na metr bez okna. Przypuszczalnie była to kiedyś ubikacja, bo w ścianie niziutko była dziura skąd wyłaziły szczury.

Chciano mnie rozebrać do majtek i kasanow wszystko zdjąć. Udało mi się ich oszukać i zostać w bluzce i spódniczce, bo zacierając ją ściągnęłam halkę i majtki i myśleli, że nic nie mam pod nią. Także od góry ściągając dekold ściągnęłam halkę i stanik. Byłam skostniała z wilgoci i z zimna. Wyciągnęłam wprawdzie ręce z rękawów bluzki aby je przytulić do ciała a spódnice rozciągnęłam na skulone nogi.

Po dobie gdy nikt do mnie nie wchodził, przypominałam sobie, że tylko raz na dwa dni dostanę zupe czy wodę. W celce tej było malutkie wzniesienie ocementowane na którym skulona przesiadywałam noc. Ciemno, zimno i piszczące szczury - był to koszmar. Drugiego dnia przyszła zmiana strażników. Przyszedł Iwan - znałyśmy go, był dobry chłop. Podziemna część więzienia była kratą oddzielona od schodów idących na piętro, tak że strażnik niższego poziomu był zamknięty na dole. Nie wiem ile tam było tych cel, ale usłyszałam, że chodzi od jednej do drugiej, otwiera drzwi i coś sprawdza. Podeszedł do mojej celi, ale światła nie było - więc zapytał czy jest tam kto. Odezwałam się. Gdy Iwan usłyszał, że jest tam ktoś otworzył drzwi i zobaczył, że brak światła. To było niedopuszczalne, bo mogłam coś sobie zrobić i odpowiadałby strażnik. Otworzył więc drzwi na korytarz i starał się o żarówkę.

Zacząłam z nim rozmawiać i ponieważ wiedziałam z grypsu, że w tym bloku siedzi mój mąż prosiłam go, aby mi go pokazał przez "judasza" /okrągły otwór w drzwiach/. Mówiłam mu jak mąż wygląda, szczupły, ciemnooki blondyn z pięknie kręconymi włosami. Dziwnie popatrzył na mnie i poszłam z nim zaglądać przez judasza. Zobaczyłam męża, ale był ogolony. Zrozumiałam dziwne spojrzenie Iwana. Zacząłam wołać, ale Iwan przestraszył się, że ktoś usłyszy

i odciągnął mnie spowrotem do mojego karceru.

Zdobył gdzieś żarówkę /strażnicy mieli w korytarzu szafkę, stół i krzesło/. Zaświecił światło i zamknął celę. Po chwili usłyszałam szelest papierów. Domyśliłam się, że to jakieś papiery z paczek, które więźniowie otrzymują, a na ręce nigdy nie oddają im ani skrawka papieru. W pewnej chwili - oczom nie wierzę - w wizjer wsuwa się marchewka - cała, autentyczna marchewka. Podziękowałam mu choć już ze mną nie rozmawiał tak, jak wtedy gdy nie miałam światła.

No i tak przesiedziałam pięć dni w karcerze.

W międzyczasie znowu służbę w dzień na tej kondygnacji miał Iwan. Kocioł z zupą przynoszono strażnikowi, a on sam rozdawał po celach posiłek. Otworzył drzwidło mojej celi. Ponieważ ja nie miałam żadnego naczynia, przyniósł mi blaszankę po tuszonce / było to zarówno w więzieniu jak i w obozie najwytworniejsze i najcenniejsze naczynie stołowe.

Chciał mnie widać dobrze nakarmić, bo wybrał z kotła gęstą kaszę z dna, a z góry olej. Ale blaszanka moja była dziurawa, więc musiałam palcem zatykać i szybko wypić wszystko /łyżki nie miałam/, a była dość gorąca. Byłam tak wygłodniała, że błyskawicznie zjadłam wszystko - to znaczy cały litr dość gęstej kaszy z olejem. Całe szczęście, że w karcerze była parasza /kibel/, bo resztę swojej kary przesiedziałam na niej. Po kaszy z olejem dostałam strasznej biegunki.

A oto inne wspomnienie:

Było to o ile dobrze pamiętam w obozie w Czusowej na Uralu. Obóz był dla "zeków" zakluczonych więźniów z różnych paragrafów. Od czasu do czasu przywożono grupy błatniaków - recydywistów ale nigdy na dłużej, bo to były zorganizowane szajki, które w swoim bandyckim kodeksie miały zasadę nigdzie nie pracować i lekceważyć tak więźniów jak i strażników.

Zwerbowały one do swej kompanii młodą dziewczynkę z małym

wyrokiem - widocznie zaimponował jej ten sposób bycia. Przestała wychodzić do pracy. Często dostawała paczki od rodziców, którzy blisko mieszkali, niejednokrotnie miała z nimi widzenia. Gdy rodzice dowiedzieli się o jej przyjaźni z recydywistami, namawiali ją aby normalnie pracowała - obiecali przedterminowe zwolnienie jej z obozu. Nie pomogły namowy i groźby tej szajki - urwały im się częste paczki - dziewczynka odizolowała się od nich.

W tym okresie, przypuszczalnie wiosną 1947 roku od czasu do czasu organizowano tańce dla więźniów przy harmonii lub gitarze, od kolacji do apelu wieczornego, po których wszyscy rozchodzili się do swoich baraków. Grupa recydywistek była umieszczona w małym baraku - karcerze i na noc zamykana na klucz. Z innych baraków można było wychodzić do latryny po opowiedzeniu się nocnej "dniwalnej" /"dniwalna" - to przeważnie starsza inwalidka pilnująca dniem i nocą porządku w baraku/.

Otóż po takich tańcach, gdzie błatniaczki bawiły się z tą młodą dziewczynką, nocą kilka z nich zjawiało się w baraku, gdzie spała dziewczyna, wytłumaczyły dniwalnej, że mają do dziewczyny pilną sprawę, a także zagroziły, że jeżeli zadenuncjuje je, to one jej pokażą. Podeszły do pryczy i siadając okrakiem na dziewczynie głowę jej zakryły poduszką. Na interwencję dniwalnej tłumaczyły się, że dziewczyna ma atak epilepsji /co było bardzo częstym objawem w obozach, było trochę autentycznych przypadków, a wiele zapewne symulowanych/. Po chwili bandytki wyszły z baraku a dziewczyna leżała na poduszce przykryta kocem. Przy rannym apelu okazało się, że dziewczynka nie żyje. Zaniesiono ją do "sancości" i tam pielęgniarka odkryła na szyi prawie niezauważalną cienutką żyłkę wbity w ciało. Wyrok śmierci dostała za to, że się "zsuczyła" - to znaczy wyłamała z obowiązujących reguł i kodeksu tej bandy. Recydywistki zostały na stałe zamknięte w karcerze i tylko donoszono im jedzenie.

Pilnowała ich młoda, ładna z kręconymi blond lokami straż-

niczka. Ostro je traktowała i zemściły się na niej.

Byłam wtedy chora i leżałam w swoim baraku gdy zaczął się ruch w obozie, zobaczyłam jak nadzorcy z bramy prowadzą tą strażniczkę, a inni z komendantem walczą z bandytkami, usiłując wtłoczyć je spowrotem do karceru.

Jak się okazało, one nocą rozebrały piec i wyszły z baraku. Złapały tą strażniczkę i wrzuciły ją do latryny, aby tam utopić. W godzinach pracy obóz był prawie pusty i dopiero rozpaczliwe krzyki tonącej strażniczki zaalarmowały innych strażników. Wytnięto ją zanurzoną powyżej pasa w fekaliach. Widok ten, pomimo tragicznej sytuacji był arcykomiczny. Gdy szła przez obóz do bramy z kieszeni służbowego ubrania wydobywały się odchody i każdy krok powodował wyciskanie tego samego z butów o szerokich cholewkach.

Gрупę błatniaczek dosłownie w kilka dni pod wzmocnioną strażą odprawiono.

Inny obrazek:

Na peresyłce w Tajszerce siedziałyśmy w pomieszczeniu jakiegoś kina czy teatru. Kobiety na widowni a mężczyźni na zabitej od naszej strony deskami scenie. Kiedyś rano obudził nas krótki przeraźliwy krzyk. Okazało się, że wśród mężczyzn jakiś chłopak ukradł błatniakom kromkę chleba. Oni natychmiast wykonali wyrok, zabijając go. Miał zmiażdżoną głowę - zdeptali go na śmierć.

Kolejny obraz błatniaków:

Było to na samym początku pracy na Uralu - przy torach kolejowych /początek 1956 roku/.

Byłam jeszcze zupełnie zielona. Błatniacy byli dla mnie zupełnie nie rozszyfrowani. Miałam na sobie domowe ubranie: wełniane czarne płaszczy i buciki - lekkie damskie oficerki. Przy śniadaniu poradzono mi aby zupełnie zjeść a chleb wziąć ze sobą do pracy, bo tam pewnie dadzą "kipiatok". Więc włożyłam chleb do kie-

szeni. Na dworze był trzaskający mróz. Dali mi szufłę i miałam nią przesypywać żwir pod tory. Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z łopatą, a że żwir był zmarznięty moje usilne starania zupełnie nie dawały efektu.

Postanowiłam pojeść trochę chleba aby nabrać sił. Sięgnęłam do kieszeni i jakie było moje zdziwienie gdy trzymałam w ręce prawie białą kostkę. Chleb był tak mokry, że zmarznięty tworzył kostkę lodu, której nie mogłam ugryźć. Więc oparta na szufli z chlebem w ręce zaczęłam chyba podświadomie płakać. W tej chwili podeszła do mnie brygadierka, błatniaczka - na imię miała Raja. Popatrzyła na mnie i zapytała czemu nie pracuję. Nic na to nie odpowiedziałam. Nagle poczułam, że dała mi kppniaka i to solidnego, bo przeleciałam kawałek aż upadłam koło piecyka żelaznego, gdzie gotowano "kapiatok".

Zaczęłam się gramolić z ziemi, gdy Rajka podeszła do mnie i oznajmiła, że będę palić w piecyku. I u takich ludzi zdarzają się niezrozumiałe odruchy ludzkie. A może było to wyrachowanie - bo ja byłam jeszcze nieźle ubrana. Szorstki gest i "łaska pańska", ale nie żądała ode mnie niczego.

W którymś z obozów na Uralu byłam dość długo, tak że doszła do mnie paczka od rodziców. Paczki wydawano w baraczkach na terenie obozu, gdzie urzędował naczelnik. On też każdą rzecz przetrząsał szukając grypsów czy innych niedozwolonych przedmiotów. Paczki musiały być drewniane i obszyte płótnem. Skrzynkę zabierano, więc niosłam całą zawartość w worku płóciennym.

Szczęśliwa i beztroska niosłam to do swego baraku w jasny dzień. Nagle zza węgła jakiegoś baraku wyskakuje kilka złodziejek, zabrały mi cały worek i zniknęły. Nie wiedziałam, że trzeba milczeć i z płaczem wróciłam do naczelnika skarżąc się. Ponieważ nie wiedział kto to mógł zrobić, wsadził je do karceru, mnie zaś uprzedził, bym sama nigdzie się nie pokazywała w obozie, a już Boże broń po apelu.

Okazało się, że chcą mnie za karę utopić w latrynie. Po tym przypadku ze strażniczką wiedziałam już, że to nie są puste słowa. Faktycznie nigdzie sama się nie pokazywałam, bo wciąż wiedziałam którąś z nich w pobliżu. Bałam się śmierci w kloace.

Bardzo urozmaicone było nasze życie w obozach na Uralu, może właśnie ze względu na grupy recydywistek. Wszyscy się ich bali, nawet strażnicy i wolni, którym nie można było na terenie obozu nosić broni. Musieli zostawiać ją na wartowni. Lepiej było schodzić z drogi recydywistkom, choć czasem udawało się nawiązać z nimi kontakt i nawet dojść do pewnego porozumienia.

Różne grupy recydywistów przechodziły przez obozy w których przebywałam, nigdy jednak długo ich nie trzymano.

Po jakimś czasie znów ukradziono mi paczkę - tym razem z baraku i pod moją nieobecność. Dniwalne bały się ich i nic nie miały do powiedzenia. Naturalnie tym razem nie skarżyłam się już na czelstwo. Kiedy otrzymałam następną paczkę, przyszła do mnie ich przywódczyni - o ile dobrze pamiętam na imię miała Zojka. Uprzedziła mnie, że jeżeli się z nimi nie podzielę, to mi całą ukradną. I weszłam z tą bandą w układy. Zojka sama dzieliła. Czasem nawet trochę masła mi zostawiała, ale słoniny nigdy. Sucharki i ciasteczka dostawałam, ale czosnek i cebula były zbyt atrakcyjne aby zostawić. Czasem jakąś chustka wełniana, czy apaszka, jeżeli miały tego pod dostatkiem, to mnie się dostawała. Nawet moje współtowarzyszki Polki zaczęły się "sprawiedliwie" dzielić - zawsze jednak coś nam zostawało.

Pewnego dnia przyszedł etap i w nim Polka - sądzona w mojej grupie Krysia Zajączkowska. Był taki zwyczaj złodziejski, że gdy przychodził nowy etap błatniaczki urządzały widowisko ze śpiewami i tańcami, aby zwrócić na siebie uwagę, a druga grupa tej bandy okradała co się dało. Świeżo przybyłej Krysi ukradziono cały worek z rzeczami, a po drodze zgubiono jeden sznurowany trzewiczek. Dziewczyna była zrozpaczona, bo co jej z jednego buta.

Poszłam do Zojki i mówię: co wzięłyście to wzięłyście, ale co wam z jednego bucika? Zojka zaśmiała się i odpowiada: ukradniemy drugi. Poprosiłam aby tego nie robiły i tak mają wszystkie inne rzeczy - i o dziwo oddała drugi but. To był okres świetnej komitowy z nimi.

Nastał okres gdy nie otrzymywałam zupełnie paczek. Byłam chora, po jakimś zastrzyku i zostałam na pryczy. Wtedy mieszkam na górnej pryczy trzykondygnacyjnej. Niedaleko był piec. Patrzę na dół, a moja Zojka ze swoją świtą gotuje w kociołku zupę kartoflaną. Obrały ziemniaki, obrały cebulę i gotują. Zojka podniosła oczy na mnie i pyta - "Ty czego?" Odpowiedziałam, że jestem chora. - "A jeść chcesz?" Zrobiłam widać głupią minę, bo wiadomo - zawsze chce się jeść, nawet gdy człowiek chory. I wtedy dały mi te obierki z kartofli i łupki z cebuli a nawet trochę soli. To co sobie ugotowały, same zjadły a ja zeszedłam z pryczy i w puszcze po konserwie /tuszonce/ ugotowałam te łaskawie otrzymane resztki. Chyba nic mi w życiu tak nie smakowało jak ta "zupka".

Do 1948 roku w obozach pracy zorganizowane były brygady. Najwięcej było Ukrainek. One trzymały się raczej razem. Przypuszczalnie młodzi byli z grup nacjonalistów, których jeszcze Niemcy w czasie okupacji podburzali i dlatego byli do nas wrogo nastawieni. Pamiętam Ukrainkę w moim wieku, około dwudziestu kilku lat, która wręcz mi powiedziała, że woli u ruskich jeść czarny chleb niż u Polaków białe bułki. Także z Ukrainkami, za wyjątkiem bardzo nielicznych przypadków, nie nawiązywałyśmy bliższych kontaktów. Serdeczniejsze stosunki łączyły nas z Łotyszkami, Finkami, Estonkami. Spotkałam nawet jedną Amerykankę. Litwini też trzymali się oddzielnie. Z jedną z Estonek utrzymywałam jakiś czas po powrocie do kraju kontakt listowny. Poznałam ją w obozie dla "słabosilnych", już w drugim okresie obozów politycznych za

Tajszetem. Z tego też okresu pamiętam Chinki. Jedna z nich była w laboratorium w szpitalu pomocnicą przy myciu szkła laboratoryjnego, a przede wszystkim szkiełek nakrywkowych. Odznaczała je ogromna precyzja i delikatność.

Pamiętam taką staruszkę Chinę, tak przynajmniej, wyglądała w obozie. Miała zniekształcone stopy. Opowiadała jak to zgodnie ze starochińskim zwyczajem we wczesnym dzieciństwie bandażowano dziewczynkom stopy, podwijając paluszki pod spód. Stopa nie rosła i nie rozwijała się, tworząc kopytko wielkości pięści dziecka. Było to coś koszmarnego i uniemożliwiało chodzenie. Sunęły się one na tych zniekształconych kopytkach. Szczególnie dużo Chinek spotkałam w obozie dla inwalidów i niepełnosprawnych, w którym dość długo przebywałam.

I jeszcze trochę wspomnień z pobytu na Sybirze koło Irkucka.

Przez nasze obozy często przewijały się grupy sekcjarskie. Trudno mi je nazwać. Wiadomo, że w Związku Radzieckim było dużo najrozmaitszych sekt religijnych i były one prześladowane. Działalność ich była raczej tajna - zakonspirowana.

Pamiętam kiedyś przywieziono kilkanaście tak zwanych "manaszek" - po polsku zakonnic. Jednakowo, schludnie ubrane trzymały się zupełnie oddzielnie, nie chciały nawet wchodzić do baraków. Na siłę starano się je tam wprowadzić. Było lato - ciepło w nocy. Miały ze sobą prowiant i ze wspólnego kotła nie jadły. Bez przerwy modliły się i śpiewały. Miały paczki z zewnątrz.

Z tym wszystkim kierownictwo mogło się jakoś godzić - bo nic złego nie robiły. Ale nie chciały wychodzić do pracy.

Pracowałyśmy wtedy na trałowce /ściąganie beli drewnianych z głębi tajgi na specjalne przyczepy samochodowe/. Utworzono z sekciarek grupę roboczą i kazano iść do pracy. Upierały się, więc je wypchnięto za zonę. Rusza cały "konwój", to znaczy brygady więźniów i samochody, a one nie idą. Czas leci, a norma do

zrobienia zawsze duża.

Pamiętam taką sytuację, że przywiązano je sznurami do przyczep samochodowych i zaciągnięto, jak daleko nie wiem, bo byłam chora i nie poszłam do lasu.

Aby złamać upór sekciarek naczałstwo wymyśliło koszmarną torturę. W tamtej strefie klimat był raczej tropikalny, zimy ogromnie mroźne, a lata upalne. Prócz tego kilka razy w ciągu lata wyrażała się "moszka". Są to małe jadowite muszki, które nadlatują całą chmarą i gryzą ludzi i zwierzęta tak, że niektórzy bardziej uczuleni puchną tak, że oczu nie widać, są nawet podobno śmiertelne przypadki. Ochronić się od nich nie sposób, bo malutkie, wielkości 2-3 mm wcisną się wszędzie. Wolni nosili kapelusze z dużym rondem i tiulem.

W naszym obozie była elektryczność i wzdłuż głównej drogi stały słupy. I do tych słupów pprzywiązywano kilka zbuntowanych sekciarek. Wyglądało to koszmarnie. Od rana do wieczora na upale gryzione przez tą "maszkę" omdlewały na sznurach. Ktoś chciał podać wodę i sam został przywiązany do słupa. Wszystkie przeżyły, ale i to je nie złamało. Byliśmy pełni podziwu dla ich silnej wiary, a może fanatyzmu i bezkompromisowości.

Na ich szczęście zmienił się naczelnik i aby mieć spokój, a może aby nie doczekać się nagany od naczałstwa, tak ustawił ich pracę, że zostawały w zonie pracując niby to przy porządkowaniu obozu, przy kuchni czy "kipiotirce" i paleniu pod piecem. Nie pracowały nadal, ale przemieszane z innymi zostawały w obozie i skończył się bezsilny terror nad nimi. Nie wiem co było dalej, bo ja znowu zmieniłam obóz.

Zdaje się, że było to jeszcze na Uralu, a może się mylę, ale posyłano brygady robocze do kamieniołomów. Wprawdzie nie kruszono kamieni, ale ładowało się na samochody piasek, zdaje się że na jakąś budowę. Był to kres trudny, bo bardzo głodowy dla

więźniów. Nie było zupełnie paczek i wszyscy głodowali na marnym wikcie. Wtedy chyba popróbowалам pokrzywę, lebiodeę i krwawnik.

Kiedys wróciła z tych kamieniołomów brygada i przyniosła coś, co wyglądało jak plastelina lub bardzo gęsta śmietana. Białe toto było i nie miało żadnego smaku. Niektóre uważały, że można tym zapchać żołądek. Nie znam się na geologii i nie wiem co to była za warstwa, dość na tym, że u kilku więźniarek zaczęły się dolegliwości żołądkowe. Położono je w saneczki i zaczęto przepłukiwanie żołądków syfonowym sposobem.

Po wsunięciu gumowej rury do żołądka w drugi koniec wlewano ogromne ilości wody, aby to tworzywo wypłukać. Jednej nie udało się odratować. Okazało się na sekcji zwłok, że glina owa pod wpływem kwasów żołądkowych stwardniała tak, że nawet jelita były jak zacementowane.

X A teraz coś z okresu, gdy pracowałam w laboratorium w szpitalu. Nawiązał się dość życzliwy kontakt między więźniarkami, szczególnie Polkami a wolnymi. Mieli dla nas dużo szacunku za naszą uczciwość, pracowitość i dyskrecję.

Strażnicy i cała wolna obsługa to byli dość biedni ludzie, często uczestnicy wojny z dużymi zasługami, ale też często analfabeci. Byli i tacy co "powąchali" "zgniły Zachód", więc aby ich odizolować od przeciętnej społeczności, wysyłano ich w głąb Rosji na północ lub na Sybir w charakterze strażników lub innych z wolnej obsługi obozu.

Przyszedł raz do laboratorium jeden ze strażników mówiąc, że ma straszny kłopot. Co takiego? Ano okazało się, że ma jakiś ropny wysięk z członka. Nie wiadomo co - skarżył się nam - ale mam dziewczynę i ona też źle się czuje. Czy byście nie mogli zbadać.

Sympatyczna była nasza kierowniczką, Żydówka z dziesięcio-

letnim wyrokie^{my} Dobrze zbadamy, ale dajcie nam wymaz tej wydzieliny w próbówce - przyniesiecie to zobaczymy. I rzeczywiście zobaczyliśmy autentyczne rasowe gonokoki. Tylko, że ten strażnik nie może przyznać się swoim władzom, a jak ma się leczyć? Mogliby go o niewiadomo co oskarżyć i ukarać i tego się boi. Wyprosił kierowniczkę, by podjęła się leczenia.

Kierowniczki wszystkich oddziałów żyły ze sobą serdecznie i jeżeli mogły pomagały sobie. Tak, że udało się otrzymać jakieś preparaty, dostał wskazówki jak je stosować. Normalnie nie wolno pić wódki, mieć stosunków płciowych - jednym słowem prowadzić się powściągliwie.

Po iluś tam tygodniach przyszedł rozpromieniony. Wszystko minęło. Zrobiliśmy badanie wymazu, gonokoków nie było. Ale aby się upewnić o skutkach leczenia trzeba zrobić tzw. prowokację. Tu ubawiliśmy się setnie, bo on natychmiast zaproponował "zrobić prowokację z nowo poznaną dziewczynką". "O! kak choroszo! Będziemy się prowokować".

Długo musiała mu tłumaczyć moja lekarka, że nie wolno ryzykować zakażenia nowej dziewczyny. Wystarczy spać się porządnie i poczekać. Jeśli coś tam jeszcze się ukryło, to da znać o sobie.

Wszystko po jakimś czasie okazało się w porządku. Aby się nam odwdzińczyć obiecał porobić zdjęcia. Przyszedł z aparatem ukrytym i magnezją i porobił nam zdjęcia z kierowniczką i innymi pracownikami laboratorium. Mam do dziś te zdjęcia.

Taka to była wdzięczność tego biedaka, mimo, że zdawał sobie sprawę, jak się naraża.

Wspomnę jeszcze jak budowaliśmy linię kolejową na Sybirze. Miało to być strategiczne połączenie Angary z Leną. Rok 1949-50. Przewieziono nas za Angarę do obozu z nie bardzo jeszcze wykonczonymi barakami. Przed nami podobno Chińczycy budowali ten obóz. Najpierw wykańczaliśmy obóz tzn. baraki i urzędowe pomieszczenia.

Następnie przystąpiono do budowy drogi kolejowej.

Ponieważ przechodziło tam któreś z pasm Sajanów Wschodnich praca nasza polegała na przebijaniu się przez góry i zasypywaniu przełęczy, aby droga przebiegała mniej więcej na jednakowym poziomie. Wolni zrywali wzniesienia ładunkami wybuchowymi, a myśmy miały głazami zasypywać przełęcze i wyrównywać poziom.

Naczalstwo obozowych grup pracowniczych było podporządkowane dyrekcji prac /wolnych/.

Praca wolno posuwała się naprzód, a najzabawniejsze było zasypywanie głębokich dołów. Miał być beton i głazy - a czegośmy nie wrzucały do dołów nie da się poprostu opisać - piasek, śmiecie, drewno bez domieszki cementu - bo ten był po drodze rozkradany. Na naszą fuszerkę patrzono przez palce. Odcinkiem wykończonym - z wierzchu podcementowanym - tylko bezpośrednio pod podkładami i szynami - dowożono materiał dalej, a nawet czasem na lorach wożono brygady więźniów do pracy.

Pamiętam przypadek, gdy rozbawiona brygadzistka żartując ze strażnikami schodziła po lorze, a że droga była prowizoryczna i nierówna wyleciała pod koła i przywieziono ją z obiema odciętymi nogami. Do dziś brzmi mi w uszach jej poprostu zwierzęcy ryk, zanim została odwieziona do szpitala. Podobno po amputacji żyła i jako kaleka została zwolniona.

Trudno mi uwierzyć, że do dziś droga ta stoi i funkcjonuje.

Po ukończeniu jakiegoś odcinka trasy ogłoszono święto i na otwarcie tej drogi zaproszono jakichś naczelników z Moskwy, pewnie z ministerstwa kolejnictwa.

W obozie też świętowano. Pojawiono się lepsze jedzenie.

Na początek toru wtoczono dużą lokomotywę parową, barwnie przystrojoną flagami, gwiazdami, sierpem i młotem, hasłami o stachanowskiej pracy - jednym słowem "cudo". Powsiadali naczelnicy i ci z Moskwy aby zlustrować i przyjąć wykończony odcinek. W pewnym miejscu lokomotywa utknęła - okazało się, że przekop był za wąski.

Zdjęto kierownika robót /pewnie dostał się do lagru/. My natomiast
miałysmy serdeczny ubaw z tej stachanowskiej roboty.

Учреждение Союза Советских Социалистических Республик.

1945 года сентября 21-22 дня. Военный Трибунал Войск НКВД Львовской обл. в г. Львове, на закрытом судебном заседании, в составе: председателем бывшим капитаном юстиции Байцева Емелья; Карлова и Ковалева при секретаре младшим лейтенанте юстиции Черной с участием обвиняемого в лице помощника Военного прокурора г. Львова капитана юстиции Гондарева и защитны Емелья Ковалева заместителем Бужин, Гресс и Сухов, рассмотрел дело по обвинению.

Алексея Стефановича Иванова, 1928 года род. уроженки г. Дрогобыч, постоянно проживавшей в г. Львове, поляки, гражданки СССР из семьи служащих, сущающей образованности среднее, незаконнорожденной и судимой. В преступлении преступлений ст 57-1а и ст 54-1 УК УССР.

Иванович:

Познанный Алексей, являлся членом антикоммунистской организации "АК" под псевдонимом "Григорий", а затем "Асено" первоначально выполнял роль связной, а затем выполнял обязанности секретаря радиотелефона, выполнявшего подслушивающие функции. С Ивановой в г. Львове Советской власти Алексей по день ее ареста т.е. до 21 июля 1945 выполнял роль радиотелефона по приему и передаче радиотелеграмм и руководил группой подслушивающих радиотелефонов. В своей квартире хранил различные документы "АК" и радиотелеграммы. Произведенные в квартире Алексея обыски, обнаружены различные документы на нужное дело, приобретенные его для "АК" а также по его указанию в одном из тайн. "Ков" было найдено.

различные ценности и общественное оружие, прилагавшееся НК. За свою антисоветскую деятельность в НК. Лежович специально ей руководствуясь в воевского обмара, НК. через подданных (Виктора) получила 800 рублей денег.

Руководителем ст. ст. 206 и 207 УК УССР ст. 46 УК УССР

Приговорил:

Лежович Степанию Ивановну на основании ст. 54-1, а) УК УССР лишить свободы с содержанием в ИТЛ сроком на десять лет, с порчиением в политических правах по пп. а, б, в. УК УССР сроком на пять (5) лет с конфискацией всего лично принадлежащего ей имущества.

Подпиской за надлежащим
подписан.

Зерно:

Нас. Грч
ИТК-10
мз.д

Приговоре

Г. Итова

Засвидетельствование о законности и законности

СССР
МИНИСТЕРСТВО
ЮСТИЦИИ



6-I-AA

I/872

№ 8. и 120/2
«23» апреля 1955 г.

СПРАВКА № 0002790

Выдана гражданину Лехович
Степану Ивановичу № 1 «ОТД.»
1922 года рождения, уроженка г. Кобрин

гражданство СССР национальность полька
осужденно за Военные преступления в Восточной
Пруссии области

21.2.2 Сентября 1945 г. по ст. 54.1.4 УК УССР
к лишению свободы на 10 лет с поражением в правах на 5 лет
имеюще в прошлом судимость ранее состав не
судимой

в том, что он отбывал наказание в местах заключения по
«23 апреля 1955 г. и по определению суда
по определению Окружного
суда от 24.10.54 как не
С применением ...

Освобожден «23» апреля 1955 г. и следует к избранному
месту жительства в распор. Уч. г.р. М.В.В.
(город, село, деревня, район, область)

до М.В.В. ж.л. дор.



Начальник лагеря (ИТК)

Начальник отдела (части)

Белозер



Выдано продовольствие на «.....» суток с «.....» 195.....г.

Выдано денежное пособие в сумме рублей.....

(прописью)

Выдано денег на питание в пути рублей 28

(прописью)

Выдан билет на проезд до ст. М. Сиб

железной дороги стоимостью рублей 312⁰⁵ или деньгами на билет

в сумме

(прописью)

Возвращено личных денег в сумме.....

Подпись начальника отдела (части)

Подпись начальника финчасти

Подпись освобожденного

Дата и подпись лица, производившего выдачу М. Сиб

Расписка освобожденного.....

1872

Характеристика

Зона настоящая ф-ке еляхович. Етсерами Ивонивне
1922 г. роже, уроженка Ярогобытской обл. в том, что она
отбывая наказание похаживает себя с положительной стороны.
С 9.06-1951 г. работала лаборантом при больнице. К работе
относится честно и добросовестно. Имела к администрации
несколько раз благодарности. В общебелых мероприятиях
принимала участие.
Нарушений производственной дисциплины не
имела.



22.02.55.

Уполномоченный

подпись

[Handwritten signature]

Копия

